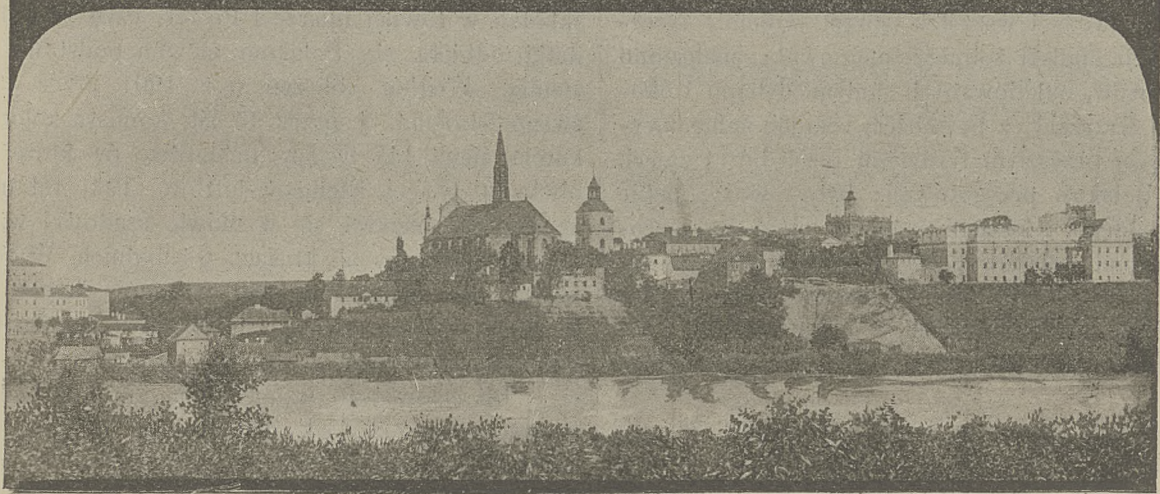
Nr. 17. Tarnobrzeg, dnia 15 lipca 1902. Rocznik II.

Adres Redakcyi i Administr.: **GŁOS ZIEMI SANDOMIERSKIEJ**, Tarnobrzeg.
Redakcya rękopisów nie zwraca, korespondencyi bezimiennych nie uwzględnia, listów nieopłaconych nie przyjmuje. — Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.

GŁOS ZIEMI SANDOMIERSKIEJ



SANDOMIERZ

PRENUMERATA wynosi w całej Austryi: rocznie 4 Kor., półrocznie 2 Kor., kwartalnie 1 Kor. W Niemczech: rocznie 6 Mrk., półrocznie 3 Mrk., kwartalnie 1 Mrk. 50. W innych krajach: rocznie 6 Frk., półrocznie 3 Frk., kwartalnie 1 Frk. 50. — **OGŁOSZENIA** przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drukiem petitowym po 20 hal. za pierwszy raz, po 15 hal. za następne razy. **NADESŁANE**: od miejsca wiersza petit. po 30 hal. za każdy raz.

DWUTYGODNIK
poświęcony sprawom gospodarczym, politycznym, społecznym i narodowym.

Opuszcza prasę dnia 1 i 15 każdego miesiąca.

Rocznica Grunwaldzka.

Obecny stan ojczyzny naszej i teraźniejsze położenie jej srogo prześladowanych synów, kajdanami niewoli skrępowanych, domaga się wskrzeszenia wspomnień o owej przeszłości naszego narodu, która ducha naszego ze zwątpienia wyprowadza, upadającym podporą się staje, a po wsze czasy o potędze i znaczeniu Polski wobec dzisiejszego jej poniewierania przez naród na jej łonie wyhodowany, niewdzięcznością się odznaczający, świadczyć będzie.

Tym narodem niewdzięcznym byli Krzyżacy, Niemcy należący do Zakonu N. P. M. Maryi, zwani potem aż dotąd Prusakami. Rycerze tego zakonu ubierali się w białe płaszcze z czarnym krzyżem, stąd zwani Zakonem Krzyżaków.

Przez Konrada, księcia Mazowieckiego, w r. 1225 do szerzenia wiary katolickiej między pogańskim ludem słowiańskim, zwanym Prusami, sprowadzeni, w ten sposób wiarę szerzyli, że pogan z ich siedzib wypędzali, czego mieczem nie wytępili, a ziemie ich dla siebie gwałtem w zbójecki sposób przywłaszczali; w Malborgu na Pomorzu siedzibę sobie obrawszy, nawet nazwę ich sobie przybrali i sami Prusakami się nazwali.

W obłudzie swej pod pozorem szerzenia wiary w granice Litwy sięgali, przekupstwem skłaniając jej książąt do zdrady swego kraju, a nawet Polskę niepokoili. Przerażeni powołaniem Władysława Jagiełły, księcia litewskiego na króla polskiego, który wraz z żoną, królową Jadwigą, wiarę katolicką na pogańskiej Litwie szerzył, widząc, że się im wymyka dogodny dla nich pozór nawracania pogan na Litwie, a potęga polska wzrosła, szukali sprzymierzeńców pomiędzy niemieckimi książętami. Z drugiej strony narody słowiańskie skupiły się około potęgi Jagiełły.

Zakon krzyżacki, pewny siły i zwycięstwa, pierwszy wdarł się w dalszą posiadłość Drezdenko. Jagiełło, przebywając wówczas w Opatowie pod Sandomierzem, manifestem z dnia 10 sierpnia 1409 wojnę Krzyżakom wypowiedział. Stanęli do wojny Słowianie i Niemcy. Niemców, którym Polska przytułek dała, należna czekała kara, a na wymierzenie tej kary użyła Opatrzność Boża oręża narodu polskiego. Zrazu podstępnymi układami wstrzymywana, rozwinęła się wojna całą masą narodów z wiosną roku 1410. Nieprzeliczone wojska stanęły na polach pod Dąbrownem, inaczej pod Grunwaldem i Tannenbergiem na ziemi krzyżackiej, a dnia 15 lipca przyszło do najkrwawszej w świecie bitwy. Pamiętny ten dzień zapisał się świetnie w historyi naszego narodu — zupełnym pogromem Krzyżaków. Czterdzieści tysięcy poległo ich od miecza, a czterdzieści tysięcy poszło w rozsypkę lub do niewoli wzięto; wielki

mistrz krzyżacki, marszałkowie, komturowie, wszyscy rycerze najznakomitsi w wojskach krzyżackich poginęli. Wojska krzyżackiego nie było — potęga Krzyżaków złamana.

„Obozy nieprzyjacielskie, zasobne w wielkie bogactwa, zapasy, wozy i wszystek sprzęt wojenny rycerstwa pruskiego, polski żołnierz opanował; znaleziono tam kilka wozów, naładowanych samymi dybami i okowami, które Krzyżacy, z pewnością rokując sobie zwycięstwo, więcej przyszłym tryumfem niżeli bitwą zajęci, do pętania Polaków przygotowali; były i wozy, pełne łuczywa smolnego i kiścieni smołą i łojem wysmarowanych, którymi Polaków pobitych i uciekających gnać mieli przed sobą. Za wcześnie — powiada historyk Długosz — cieszyli się zwycięstwem, z pychą, zaufani w sobie i niepomni, że zwycięstwo było w ręku samego Boga.“

Lecz Polacy pozwolili im odżyć; wyhodowali po raz wtóry żmiję, która rzuciła się na ojczyznę naszą; kajdanami niewoli, jakby splotami jadowitymi objęła ją w śmiertelny uścisk, aby zmiażdżyć i wygubić nasz naród a nasz kraj przerobić na kęs germanizmu; aby ojczyźnie naszej wydrzeć synów, a synom znamiona i najdroższe skarby ojczyste. Sypią teraz Prusacy, potomkowie dawnych Krzyżaków, którzy wiarę katolicką porzucili a luterską, heretycką, przyjęli — milionami na wykupienie polskiej ziemi a oddanie jej Niemcom na wieczystą posiadłość, zaś sam król pruski a cesarz niemiecki, Wilhelm, w tym samym Malborgu, gdzie Zakon krzyżacki miał swą siedzibę i za stolicę swych ziem uważał, wezwał Niemców do wytępienia Polaków.

W ręku Boga losy narodów! Bracia! Wspomnienie zwycięstwa grunwaldzkiego, dnia pomsty Bożej, dnia pogromu pychy, niechaj wlewa w serca nasze nadzieję lepszej przyszłości i wzbudza w narodzie siły ducha.

J. Kaczak z Dąbrowicy.

Polacy w zaborze pruskim.

Na ziemiach polskich zaboru pruskiego istnieje rdzenny żywioł niemiecki w niektórych powiatach Księstwa bardzo liczny, zaś na Śląsku mający miejscami nawet liczebną nad polskim przewagę. Stąd wynikła polityka rządu, aby ten żywioł wzmocnić, za jego pomocą rozbić jednolitość ludności polskiej i następnie do spółki z kolonistami zupełnie nas zniemczyć.

Uchwałą więc parlamentu tworzy Prusak w roku 1886 tak zwaną komisyę kolonizacyjną, daje jej do rozporządzenia 20 milionów marek, aby tych olbrzymich środków pieniężnych używała do wykupu ziemi z rąk polskich i na zakupionej od Polaków ziemi mieściła kolonie chłopów niemieckich. Ten czysto zbójecki sposób niszczenia polskości zupełnie jest w Prusach przez prawo uznany, żatwierdził go Sejm rzeszy państw niemieckich, przeznaczając wymienione wyżej miliony ze skarbu państwa, a więc z podatków, na które się składali w równej mierze i Polacy, czyli za polskie podatki odbiera się Polakom główną podstawę bytu — ziemię. Według obliczeń w r. 1901 przez cały czas swego istnienia, tj. przez 15 lat, komisya kolonizacyjna kupiła ziemi 147 tysięcy hektarów, na której osiadło około 20 tysięcy Niemców-lutrów. Taki rabunek polskiej ziemi nazywa się w mowie rządowej wzmacnianiem niemczyzny na kresach wschodnich. W roku bieżącym znów uchwalono 250 milionów marek, aby za tę sumę wykupić ziemię od Polaków, bo Niemcy mówią „tępmy Polaków, bo się rozmnażają jak króliki“.

Do celów tego wzmacniania może Prusak spożytkować drugi środek dla Moskala zupełnie nieprzystępny, mianowicie nasz Kościół katolicki. Bo gdy pod Moskalem katolik a Polak to jedno, w zaborze pruskim sprawa stoi niestety daleko gorzej. Tutaj obok Polaków i Niemcy są katolikami, z nimi razem mamy wspólne kościoły i wspólnych księży. Otóż rząd pruski może daleko łatwiej nadużyć Kościoła św. do niemczenia Polski a księży katolickich, mianowicie Niemców nająć jako pachołków do tej podłej roboty. Od lat więc kilkunastu w Księstwie, zaś na Śląsku od czasów niepamiętnych rząd bez wszelkich przeszkód stara się do nabożeństwa, a więc do nieszporów, kazań, różańca, śpiewów chóralnych wprowadzić język niemiecki i opanowawszy wyższą władzę duchowną, której mianowanie od niego niestety w znacznym stopniu zależy, znalazł dostateczną ilość księży Niemców lub zniemczonych Polaków, którzy mowę wrogiego nam plemienia rzeczywiście wszędzie w posługach kościelnych, zamiast naszej pięknej mowy rodzinnej mają w użyciu. Szczególnie zajadłym niemczycielem (germanizatorem) jest biskup wrocławski, kardynał Kopp, u którego ksiądz nie już Polak, ale nawet przychylny Polakom nie ma żadnego znaczenia, bo biskup pragnie i do tego z całą krzyżacką zaciętością dąży, aby mowę polską całkowicie z kościoła na ziemiach polskich wypędzić! I w tej swojej nienawiści ku Polakom idzie tak daleko, że przy objeździe dyecezyi we wrześniu roku zeszłego gorąco słowem pasterskiem zalecał księżom, aby popierali teatr niemiecki, niemieckie towarzystwa śpiewackie, założone przez Niemców-lutrów do wynarodowienia naszego ludu, zaś samym parafianom nie pozwolił nawet powitać się polskimi napisami na uroczystych bramach, dla niego, pasterza dyecezyi wystawionych. Choć z boleścią myślimy o takiem plugawieniu naszego Kościoła św. przez biskupów niemieckich i podwładnych im księży, to jednak pociesza nas nauka historyi, która wyraźnie wska-

zuje, że z Niemca nigdy nie był dobry katolik, bo nawet główny mistrz krzyżacki, głowa przecież katolickiego zakonu — gdy tego wymagała polityka — bez wahania przedzierzgnął się niegdyś na lutra, zrzuciwszy z lekkiem sercem suknię zakonną. Więc i teraźniejsi księża, którzy są dobrymi katolikami, to trzymają z bogobojnym ludem polskim, ci zajadli germanizatorzy to tylko zakapturzeni luterkowie. Rząd pruski umyślnie nagina nasz Kościół święty do celów niemczenia i wysuwa go nawet na front w tej podłej robocie, aby lud swych kapłanów znienawidził, do wiary się zniechęcił, a Prusak w te pędy pcha zaraz do Polski luterskich pastorów, którzy do ludzi się łaszą, mowy polskiej czasowo używają i tak ciągną naród do owczarni heretyckiej.

Trzeci środek niemczenia ludności polskiej wynika z przewagi ciemięzców nad nami pod względem majątku i oświaty. Tej przewagi Prusak nie omieszkał wyzyskać, szczególnie tam, gdzie polskość wspiera się wyłącznie na ludzie, jak się to dzieje np. na Śląsku. Otóż tutaj z jednej strony pruscy fabrykanci, pruscy obszarnicy zmuszają robotnika do zaprzedania swej polskości; z drugiej znowu sama wszechmoc Niemców, do których należą wszystkie fabryki, którzy zajmują wszelkie wyższe stanowiska, jak doktorów, sędziów, inżynierów, prałatów, tak olśniewa lud polski, że on w prostocie ducha nabiera fałszywego przekonania, iż w ogóle, co ubogie, słabe i ciemne, to Polska, a co pańskie, potężne, mądre, to niemczyzna i sam własne dzieci pragnie widzieć w szeregach tych mędrców i bogaczy, w szeregach wrogów swoich w obozie niemieckim. Stąd też ci księża, ci urzędnicy germanizatorzy na Śląsku to wcale nie rzadko przedawczyki polskiej narodowości, zniemczone w latach młodocianych własne Polski dzieci.

Na pomoc rządowi i księżom w tępieniu polskiego żywiołu pospieszyło samo społeczeństwo niemieckie. I tu znowu różnica z zaborem rosyjskim, gdzie naród rosyjski sam ciemny i ubogi nie może się zdobyć na poparcie rządowej roboty w Polsce. W zaborze pruskim inaczej. Pominąwszy fabrykantów śląskich, o których już była mowa, i w pozostałych dwóch prowincyach polskich, tj. w Poznańskiem i Prusach (które dzielą się na królewskie i książęce), Niemcy, mianowicie bogatsi rolnicy, kupcy i urzędnicy utworzyli oddzielne towarzystwo „szerzenia niemczyzny“ t. zw. „hakatystów“, które ma do rozporządzenia przeszło dziesięć milionów kapitału, zatrudnia całą hordę płatnych agentów a wykupując dla Niemców ziemię, szczując wiecznie rząd i naród niemiecki przeciwko nam, wyrządza Polsce ogromne szkody. Tych to hakatystów robocie należy zawdzięczyć, że obecnie, jak kraj niemiecki długi i szeroki, nie masz w tym narodzie ani jednego stronnictwa czy partyi przychylnie ku nam usposobionej. Całe 50 milionów narodu niemieckiego zieje ku nam nienawiścią lub co najmniej niechęcią albo obojętnością i radeby każdej chwili widzieć nas pogrążonych nareszcie w powodzi niemieckiej.

Uroczysty obchód

rocznicy zwycięstwa Polaków nad Krzyżakami pod Grunwaldem w Tarnobrzegu.

Dnia 5 lipca b. r. Kasyno urzędnicze zaprosiło 6 Stowarzyszeń celem wybrania komitetu dla urządzenia obchodu. Wszystkie Towarzystwa chętnie się zgodziły wziąść udział i wybrano Komitet wykonawczy, który ułożył następujący

Program.

A. Dnia 15 lipca wieczorem iluminacya miasta i pochód z pochodniami przy dźwiękach orkiestry „Harmonii“.

B. Dnia 20 lipca

1) rano o 6 godzinie salwy z moździerzy i pobudka orkiestry „Harmonii“;
2) o 9-tej godzinie nabożeństwo w kościele OO. Dominikanów (podczas nabożeństwa śpiewać będzie chór akademicki);
3) o 10-tej godz przed poł. nabożeństwo w synagodze;
4) o 3-ciej godz. po południu festyn na „Pohulance“.

Program festynu.

a) Uroczysty pochód ochotniczych straży ogniowych z miasta na „Pohulankę“ przy salwach z moździerzy.
b) Wieniec polski odegra orkiestra „Harmonia“.
c) Odczyt wygłosi p. dr. Twardowski, prof. uniwersytetu ze Lwowa.
d) Chór akademicki.
e) Koncert orkiestry amatorskiej.
f) Chór dziewcząt.
g) Przygrywka na pistonie przy akomp. orkiestry.
h) Chór amatorski miejscowy.

Wstęp 20 hal. na dochód „Banku Poznańskiego“.

O godz. $8^1/_2$ wieczorem w sali „Sokoła“

a) Uwertura orkiestry amatorskiej.
b) Słowo wstępne
c) Chór akademicki.
d) Fortepian solo.
e) Deklamacya.
f) Tercet przy akompaniamencie na fortepianie.
g) Cytra.
h) Deklamacya.
i) Chór amatorski miejscowy.
j) Harmonijki.

Wstęp za biletami także na dochód „Banku Poznańskiego“.

Program z opisem historycznym bitwy pod Grunwaldem, umieszczony w *Głosie ziemi Sandomierskiej*, sprzedawany będzie na dochód „Banku Poznańskiego“. Za staraniem komitetu wydana będzie jeszcze w bieżącym miesiącu „Jednodniówka“ w kilku tysiącach egzemplarzy. Komitet uprosił najsłynniejszych pisarzy polskich do ułożenia broszury. ***KOMITET.***

Wiec polityczny.

Dnia 9 lipca b. r. odbył się wiec włościański w sali Czytelni mieszczańskiej w Tarnobrzegu. Przewodniczącym wiecu wybrano p Jana Frankiewicza, zastępcą p. Władysława Ossowskiego, sekretarzami pp. Waleryana Wryka i Wincentego Grzywacza.

P. Frankiewicz opowiedział o dotychczasowej polityce włościan od 1895 r., przedstawił korzyści z polityki a zwłaszcza w naszym powiecie dlatego, że w politykę wprowadziliśmy pracę ekonomiczną, z której korzyści najwięcej uzyskaliśmy, zaznaczył, że mało ludzi bierze udział w życiu publicznem.

P. Dr. Surowiecki przedstawił, że kilka lat się politykuje w powiecie, ale nie omawialiśmy polityki tak, jak dzisiaj tj. na jakich podstawach pracowaliśmy i jak dalej mamy pracować. Najlepszą jest praca na podstawie miłości ojczyzny, jak to jest zaznaczonem w deklaracyi tarnobrzeskiej, uchwalonej w 1899 r. Konstytucya daje nam wolność ale też nakłada na nas obowiązki obywatelskie. Rozdzielanie się na stronnictwa, których mamy aż zanadto, to rozbicie, to nie żadna praca obywatelska. Wszelka siła w walce polega na jedności narodowej — jednością Czechy zdobyły swą niezależność; z nas Polaków wszyscy się śmieją. Potrzeba teraz pracy obywatelskiej, niech włościanie się nie usuwają od tej pracy, bo oni są tą dawną szlachtą zaściankową, co była biedna, jak teraźniejsi chłopi, a przecież, w chodakach chodząc, spieszyła na wojny i pod Warszawę na wybór króla, bo czuła się polską. Każden nasz wyrobnik powinien się czuć Polakiem a wtenczas wszystkim będzie lepiej. Lud jest teraz ofiarny, bo sam składa na kościoły, na szkoły, lecz nie wie, czem jest, czem być powinien; zwala na innych robotę narodową, a tu sami w własnych domach włościanie powinni uczyć dzieci i siebie, jak mają kochać Polskę, Ojczyznę. Inne narody chcą i mają się dobrze, bo idą razem a tu pomimo ruchu ludowego w kraju zysku nie mamy, bo niema kierunku narodowego. Z pracy w naszym powiecie mamy zysku trochę i dobrą opinię w kraju, bo praca w Kółkach rolniczych, Kole włościańskiem, w Tow. „Szkoły ludowej“ a dalej obchody narodowe, budowa pomnika Bartoszowi Głowackiemu, to praca narodowa, która nas podnosi i uszlachetnia, każe być lepszymi od Bartosza; bo jeżeli on, żyjąc w pańszczyźnie, kochał i walczył za Ojczyznę, to o ileż więcej my teraz powinniśmy kochać Polskę. Przedstawił, że jeżeli mamy i chcemy pracować dalej, to tylko w kierunku narodowym, bo inaczej szkoda pracy.

Nad zdaniami p. Dra Surowieckiego wywiązała się szeroka dyskusya. P. Wojciech Słomka wyjaśnił korzyści z wolnej ojczyzny i żeby się nie bano pańszczyzny, bo to śmieszne myśleć, że pańszczyzna może kiedyś wrócić. Gorąco poparł mowę Dra Surowieckiego. Wojciech Wiącek mówił o konieczności miłości Ojczyzny.

P. Władysław Ossowski przedstawił dręczenia Polaków przez Rosyę i Prusy, opowiedział o podłej mowie Wilhelma, króla pruskiego, w Malborgu, który wezwał Niemców do zniszczenia wszystkich Polaków. A że Koło polskie w Radzie państwa z prezesem Jaworskim na czele a także Koło sejmowe we Lwowie głupio zachowało się wobec tego, co mówił król i nie broniło sprawy polskiej, przeto p. Ossowski postawił wniosek, aby zgromadzeni uchwalili wotum nieufności i pogardę posłom w Kole polskiem w Radzie państwa i Sejmie, co jednogłośnie uchwalono.

Uchwalono następnie jednomyślnie wniosek p. Dra Surowieckiego, że cała praca w powiecie ma się opierać na miłości Ojczyzny i wniosek Wojc. Wiącka, aby publicznie podziękować posłom Krempie, Stapińskiemu i Klofaczowi za ich protest i energiczne wystąpienie przeciw mowie Wilhelma.

(Dokończenie nastąpi.)

Kurs handlowy dla synów włościańskich.

Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników na ogłoszenie, umieszone w dzisiejszym numerze o kursie handlowym urządzonym przez Towarzystwo handlowo-przemysłowe w Tarnobrzegu, a subwencyonowanym przez Radę powiatową tarnobrzeską.

Towarzystwo to, widząc, że główną przyczyną upadku chrześcijańskiego handlu wiejskiego jest brak ludzi z handlem obeznanych, postanowiło znacznym kosztem ze swej strony, a przy pomocy Rady powiatowej przyjąć czterech synów włościańskich na naukę do „Bazaru“ w Tarnobrzegu. Podnieść należy, że to za inicyatywą i gorliwem staraniem p. Dra Surowieckiego, jako wiceprezesa Rady powiat., przychyliła się Rada pow. dać znaczny datek w kwocie 500 koron na kursa handlowe.

Wikt i mieszkanie otrzymają chłopcy przez cały rok za darmo a muszą tylko zaopatrzeć się w ubranie.

Rodzice lub opiekunowie uczniów mają się zobowiązać, że po ukończeniu kursu chłopiec pracować będzie przez 3 lata w jednym ze sklepów wiejskich w powiecie tarnobrzeskim.

W dzisiejszych czasach, gdy ziemi coraz mniej, bo ludzi przyrasta, rolnik musi oglądać się za tem, aby dać dzieciom kawałek chleba w ręce przez nauczenie ich jakiego rzemiosła lub zawodu. Przeto nauka handlu prawie bezpłatna będzie wielkiem dobrodziejstwem dla włościan, mających mało roli a dużo dzieci.

Handel na wsi może dziś jeszcze dać bardzo dobre utrzymanie, jeżeli ten, kto się do niego bierze, nauczy się tego zawodu. Bez nauki przyniesie on zawsze stratę. Kupiec musi znać się na towarze — wiedzieć, gdzie i kiedy kupić taniej; musi umieć obliczyć koszta i ceny; wiedzieć, jak i co skredytować i wiele innych, nibyto drobnych a ważnych rzeczy, bez znajomości których każdy kupiec musi upaść.

Korzystajcie więc skwapliwie ze sposobności dania dziecku tanim kosztem kawałka chleba w ręce.

Uczniowie oprócz nauki w sklepie uczęszczać będą codziennie do szkoły przemysłowej, aby wyćwiczyć się w rachunkach, pisaniu listów i prowadzeniu książek handlowych. Dlatego wymaganem jest, aby chłopiec, który chce być przyjętym na kurs, skończył miejscową szkołę ludową z dobrym postępem, a że po ukończeniu kursu mają objąć obowiązek sklepikarza samoistnego, więc muszą to być chłopcy, którzy ukończyli przynajmniej 15 rok życia.

Wdzięczność należy się Radzie powiatowej w Tarnobrzegu, że tak chętnie poparła obywatelskie i uczciwe starania Towarzystwa handlowego i udzieliła na utrzymanie każdego ucznia po 10 koron miesięcznie. Drugą połowę kosztów utrzymania ucznia oraz wynagrodzenie dla kierownika kursu i sprawienie przyborów szkolnych ponosi Towarzystwo handlowo-przemysłowe.

Kółka rolnicze.

Dnia 1 i 2 lipca odbył się w Tarnowie zjazd delegatów Kółek rolniczych, tworzących Radę ogólną. Stawiło się około 250 osób oprócz Zarządu głównego; przybyli reprezentanci władz i towarzystw rolniczych i ogrodniczych.

Po nabożeństwie, odprawionem przez ks. biskupa Wałęgę w katedrze, zeszli się zgromadzeni w sali Towarzystwa strzeleckiego. Prezes p. Cielecki zagaił posiedzenie i przywitał ks. biskupa, który w podniosłych słowach zaznaczył ważność działalności Kółek i udzielił błogosławieństwa arcypasterskiego.

Prof. Dr. Głąbiński referował sprawę zawodowych stowarzyszeń rolniczych, poczem w obradach nad tą sprawą brało udział rano i po południu 20 mowców, z czego połowa delegatów włościańskich.

Drugim był odczyt ks. Koleńskiego o współudziale Kółek rolniczych w walce przeciw alkoholizmowi.

Wnioski uchwalone na tych obradach przekazano Zarządowi głównemu do wykonania.

Mianowicie oświadczono się przeciw wnioskowi Hupki o stowarzyszeniach zawodowych; za udziałem Kółek rolniczych w zwalczaniu pijaństwa i zmniejszaniem liczby szynków; postanowiono domagać się jak najprędzej wprowadzenia w życie włości rentowych.

Uchwalono, żeby Zarządy Kółek ściągały koniecznie opłaty od członków Kółka w myśl statutu; żeby Zarząd główny uzyskał większy fundusz pożyczkowy na nawozy sztuczne; żądano od rządu subwencyi na cele hodowlane; założenie biura handlowo-przemysłowego przy Zarządzie głównym; wydanie broszury o drenowaniu.

Po ukończeniu obrad ks. Frydel z Komarna, Beneszek z Liska a Jurgo Czermuga z Uchorzec po rusku dziękowali prezesowi i Zarządowi głównemu za zjazd; prezes zaś miastu za gościnę.

Po obradach udano się na wystawę przeglądową bydła, koni i maszyn rolniczych a potem szkoły ogrodniczej.

W teatrze amatorskim grano „Dramat jednej nocy“ i scenę z „Kościuszki pod Racławicami“.

Rozruchy włościan na Rusi.

Około Lwowa i Tarnopola wstrzymali się włościanie we wielu wsiach od robót na gruntach dworskich z powodu małej zapłaty, a robotników z obcych gmin nie dopuszczają do robót. Na miejsce zaburzeń wyjeżdżają komisarze starostwa z huzarami.

Dwory płacą robotnikom po 30 do 60 hal; — z drugiej strony trzeba przyznać, że robotnik ruski jest najgorszy na świecie; jest próżniak i ciemny.

Nie było jednak żadnych bitek i gwałtów. Prawie wszystkie dwory podwyższyły zarobki najmniej na 60 i 70 hal.; bliżej Lwowa na 1 kor. i 1 kor. 20 hal., wobec czego strejki ustały.

Wynagrodzenie po 30 hal. to bezwarunkowo za mało. Starostwa głoszą, że zmowy powstały wskutek podżegania niesumiennych agitatorów.

W Dołżance, Domarnarzycach, Kutkowicach, Hłuboczku w powiecie tarnopolskim; w Gnilicach w powiecie zbaraskim, w Kurowicach w przemyślańskim, zmowy robotnicze były największe. W Hłuboczku nawet służba dworska do zmowy przystąpiła.

Interpelacya posła Krempy i towarzyszy

wniesiona 30/5 1902 do JE. p. ministra sprawiedliwości, dotycząca nadużyć w c. k. sądzie obwodowym w Rzeszowie w sprawie krakowskiego Towarzystwa ubezpieczeń.

Marcin Rucki, wyrobnik w Nadbrzeziu, zabezpieczył dom swój tamże pod l. 126 w Towarzystwie ubezpieczeń w Krakowie na kwotę 500 złr. i na to zabezpieczenie premje Towarzystwu opłacał. Dnia 10 lipca 1890 zgorzał dom ten zupełnie, a gdy 18 lipca 1890 likwidator powyższego towarzystwa Adolf Nowak wraz z delegatem p. Antonim Soko-

łowskim przyjechali, w celu obejrzenia i oszacowania szkody, wójt ówczesny w Nadbrzeziu rzucił podejrzenie, że Marcin Rucki sam dom podpalił i zaprojektował spisanie protokołu. Zeznanie wójta miało charakter nienawistny. Zawezwano więc włościan Jana Walczynę, Antoninę Jurkowską i Józefę Przepelską, którzy nieświadomie i pod presyą protokół podpisali.

Zamiast zabezpieczonej kwoty 500 złr. chciano Ruckiemu wypłacić tylko 180 fl. 24 ct., a gdy tego przyjąć nie chciał, oddano go do sądu z zarzutem, iż oprócz tego, że dom sam podpalił, chciał jeszcze towarzystwo uszkodzić, gdyż odebrał od sąsiadów uratowaną podczas pożaru pierzynę i poduszki a towarzystwu o tem nie doniósł. Jakkolwiek podczas rozprawy sądowej od zbrodni podpalenia Marcin Rucki uwolnionym został, to przecież zasądzono go za ukrycie zabezpieczonych powyż wymienionych, a tak drobnostkowych rzeczy na 4 miesiące więzienia i zapłacenie kosztów procesu w kwocie 88 złr. 43 ct.

W końcu został Rucki przez Towarzystwo krakowskie do Tarnobrzega zawezwanym, gdzie mu znowu ugodę na odszkodowanie w kwocie 147 złr. stawiano. Ponieważ Rucki nie chciał jej przyjąć, agent Towarzystwa zagroził mu żandarmami. A gdy Rucki, widząc już tyle niesłuszności na sobie, odpowiedział, że przyjmie z powodu najstraszniejszej nędzy, ale pod tym warunkiem, jeżeli umieszczona będzie uwaga, „że pieniądze biorę jako tymczasową częściową wypłatę“, agent ten podsunął mu jakiś papier, nie objaśniwszy o ważności tegoż. Ponieważ Marcin Rucki pisać ani czytać nie umie, więc kazał synowi swemu powyższą uwagę napisać i siebie podpisać, mówiąc, że prawa dalszego w sądzie poszuka.

I cóż się dzieje? Rucki robi doniesienie do prokuratoryi w Rzeszowie. Przeprowadzają śledztwo: Towarzystwo i agent, jak zawsze, niewinni — a Marcin Rucki zostaje zasądzony za oszustwo i oszczerstwo na 4 miesiące więzienia, a syn jego, jako wspólnik, na 6 tygodni.

Ciekawe tu jest więc to zasądzenie; pokrzywdzony i oszukany zostaje zasądzonym dwa razy, winni są uznani za niewinnych. I któż ma tu odpowiadać? Czy ten wieśniak może mieć wiarę w sprawiedliwość i sądy? Czy ten sędzia śmie bezkarnie w takich sprawach wyroki w imieniu Jego ces. król. Mości wydawać i nie być do odpowiedzialności pociągniętym?

Nadmienić wypada, że Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie procesem, ciągnącym się od roku 1890, zupełnie materyalnie zniszczyło Marcina Ruckiego i dom obecny, na który wzmógł się uciążliwą praca, zaciągnąwszy nań dług, by mieć schronienie dla licznej rodziny, wystawiło do publicznej licytacyjnej sprzedaży.

Wobec tego zapytują niżej podpisani: czy JE. pan minister raczy powyższą sprawę pod dokładne i bezpartyjne przeprowadzenie innemu sądowi oddać i poszkodowanemu do osiągnięcia sprawiedliwości dopomódz, jakoteż niesumiennego sędziego i winnych za podobne postępowanie do odpowiedzialności pociągnąć.

SEJM.

Zaledwie kilka ważniejszych spraw dostało się pod ogólne obrady Sejmu z ożywioną dyskusyą, zresztą, jak zawsze z początku Sejmu, obradują komisye nad wnioskami, petycyami i sprawozdaniami. Przy sprawdzeniach wyboru posłów Korol, Stapiński i Bohaczewski zarzucali, że brak jest bezstronności u urzędników przy badaniu zarzutów podnoszonych w protestach wyborczych. Maryewski i namiestnik przemawiali za pomocą dla powodzian.

Wniosków jest bardzo wiele; na obradowanie nad nimi winienby Sejm trwać z pół roku, a nie trzy tygodnie.

Szajer wniósł o ukrajowienie drogi Tarnobrzeg-Rzeszów. Buynowski o zmianę ustawy gminnej przez połączenie gmin z obszarami dworskimi. Stapiński o język polski w wewnętrznej służbie w urzędach; nadto wypowiedział dłuższą mowę o nadużyciach urzędników ze Starostwa.

Uchwalono powiększenie liczby urzędników Wydziału kraj. o trzech, celem prowadzenia lustracyi powiatów i gmin, a na wniosek Stapińskiego potrzebę instrukcyi dla lustratorów.

Stojałowskiemu, którego *Naprzód* nazywa księdzem Lampiarzem, zachciało się pożyczki bezprocentowej 25.000 kor. niby na dom jego stronnictwa. Wyśmiewał go Łazarski, nazywając Stojałowskiego zakałą duchowieństwa i Polaków; Stapiński zaś nazywa go służalcem rosyjskim.

Ks. Mazikiewicz wnosi o uwolnienie nowych chat od dodatku krajowego.

Uchwalono: powiększyć liczbę urzędników biura melioracyjnego; za uszkodzenie budowli wodnych karać od 1 korony do 300 kor. w miejsce dotychczasowej najniższej kary 10 kor.; wezwać rząd zgodnie z petycyą Wydziału powiatowego w Tarnobrzegu i wnioskiem Rozwadowskiego, aby przy każdym sądzie powiatowym ustanowić geometrę; wezwać rząd zgodnie z petycyą Wydziału pow. w Tarnobrzegu, aby władze rządowe doręczały stronom swoje pisma przez pocztę lub osobnych posłańców, a nie przez gminy; wezwać rząd, aby oznaczył granice poruczonego zakresu działania gmin i te czynności wynagradzał.

Z ziem polskich.

Z zaboru pruskiego.

Teraz ukończono proces zwany wrzesiński przeciw rodzicom, którzy się ujęli za bitemi dziećmi szkolnemi. Elżbietę Kantorczykową zasądzono na 10 miesięcy, Leona Kaliszewskiego, czeladnika szewskiego na 14 miesięcy więzienia, Aleksandra Wiśniewskiego, czeladnika szewskiego na trzy tygodnie aresztu; pierwszą za to, że miała powiedzieć na policyanta: „ukropu na głowę bym mu nalała“, co jednak było nieprawdą; Kaliszewski miał wołać: „bijcie tego złodzieja“ (tj. nauczyciela Koralewskiego); wprost obciążających zeznań nie było; Wiśniewski zaś krzyczał z płotu na dziedziniec szkolny, a co krzyczał, tego prokurator nie wiedział.

Taka to sprawiedliwość luterskich Prusaków.

Rząd pruski ściga Piasecką, która uciekła do Lwowa, listami gończymi.

Prusacy starają się wykupywać grunta od włościan polskich a osadzać na nich Niemców.

Towarzystwu „Samopomocy“ w Poznaniu, zajmującemu się rozpowszechnianiem elementarzy polskich, nakazano, aby wystąpiły z tegoż Towarzystwa wszystkie panie, jakie do niego należały.

Coraz częściej zabraniają władze urządzania wieców polskich i zgromadzeń.

Polscy członkowie sejmu prowincyonalnego w Pozna-

niu wystosowali do marszałka dworu cesarskiego Wilhelma II. zawiadomienie, że nie wezmą udziału w przyjęciu cesarza, gdy przyjedzie w jesieni do Poznania. Postanowienie to jest rozumne.

Przytulisko dziatwy szkolnej w Poznaniu zostało zamknięte z nakazu rządu dlatego, że udzielano tam nauki w języku polskim.

Władze zabroniły przyjmować do kopalń w Westfalii osób, które nie umieją po niemiecku.

Z zaboru rosyjskiego.

W Płocku był niedawno generał-gubernator warszawski Czertkow; gdy mu przedstawiono urzędników, zapytał się radcy Nenckiego, jakiego jest pochodzenia. Gdy mu Nencki odpowiedział, że jest Polakiem, gubernator wykrzyknął gniewnie: „Palak! Palak! Palak!“, poczem splunął.

Naśladuje lichy gubernator cesarza niemieckiego; mniejsza o to, widać, że nic rozumnego nie potrafi zrobić. Ale to osobliwe, że mimo takiego lekceważenia Polaków przez Moskali, są niemądrzejsi od Czertkowa Polacy, którzy agitują za ugodą z Moskalami, chociaż Moskale tej ugody nie chcą. Za tą ugodą agituje czasopismo *Kraj* petersburski i *Czas* krakowski, gazeta konserwatystów, którzy chcieliby rządowi rosyjskiemu swoje usługi oddać choćby ze szkodą sprawy narodowej. Możeby mieli ochotę zarobić co na gorzelniach i propinacyach jak w Galicyi.

Dzienniki ogłaszają instrukcyę, jaką rząd rosyjski dał generał-gubernatorowi w Warszawie, Czertkowowi. Według tej instrukcyi rząd nakazuje dopuszczać księży katotickich do nauczania religii w szkole ludowej rosyjskiej, bo rząd spodziewa się, że przez to dzieci polskie chętniej będą do tych szkół uczęszczały i po rosyjsku się uczyły, a w ten sposób będą się na Moskali przerabiały; że księża prędzej wyjawią swoje usposobienie, a jeżeli będzie dla rządu niechętne, to ich prędzej się usunie.

Wiemy dobrze, że księża nasi tak znają moskiewskiego ducha, że do wynarodowienia dzieci polskich nie dopomogliby i prawosławnej religii nie wysługiwaliby się.

Jestto nowy dokument, wykazujący, jak nieroztropnie robią ugodowcy, że dążą do ugody z Rosyą, którym się zdaje, że Rosya myśli tylko o tem, żeby Polakom pod rządem rosyjskim dogodzić, a ona wszelkim podstępem i gwałtem, tak jak Prusacy, chce nas wynarodowić. Chyba, że ugodowcom obojętną jest narodowość, a ważne są dla nich korzyści z podchlebiania się Moskalom.

ZE ŚWIATA.

Austrya. Trójprzymierze między Austryą, Niemcami a Włochami zostało odnowione, z czego najwięcej są ucieszeni Niemcy.

Król włoski udaje się w odwiedziny do cara rosyjskiego, który znowu pojedzie w jesieni do Rzymu.

Anglia. Król Edward VII, który na krótki czas przed koronacyą musiał się poddać ciężkiej operacyi, wraca do zdrowia. Odroczenie koronacyi, które wskutek tej operacyi musiało nastąpić, pociągnęło za sobą milionowe straty przedewszystkiem dla mieszkańców stolicy Anglii, Londynu, którzy na uroczystości koronacyjne poczynili wielkie i kosztowne przygotowania — a wszystko nadaremnie.

KRONIKA.

List z Ameryki. Szanowna Redakcyo! Niedawno temu, jak się zapoznałem z pismem *Głos ziemi Sandomierskiej*, którem kieruje Szanowny rodak z pod wieśniaczej strzechy. To ziarno zasiewane przez Niego pomiędzy naród wiejski, prosty, zakiełkowało w pełni życia swego tu na drugiej części świata, za Atlantykiem i w mem sercu, tulącem się pod strzechą wieśniaczą. Oświata potężnieje, a to dźwiga mego ducha.

Chcę się przysłużyć tym listem Szanownemu pismu, którego zawsze z wielką radością wyglądam. Sam tytuł gazetki upaja prawdziwego Polaka. Witam się z nią zawsze, jak z rodakiem z rodzinnego gniazda. —

Kreślę się z głębokim szacunkiem

Mieczysław Platek z pod wieśniaczej strzechy.

„Sokoły“ włościańskie. 29 czerwca b. r. odbył się w Krakowie okręgowy zlot „Sokołów“, który budził wielkie zainteresowanie, bo brał w nim udział pierwszy „Sokół“ włościański, zawiązany przez włościanina Fr. Ptaka w Bieńczycach pod Krakowem. Po raz pierwszy więc między miejskimi oddziałami Sokołów wystąpił oddział wiejskich w białych sukmanach krakowskich — bo właśnie prócz innych wielkich celów, jakie wogóle towarzystwa sokole mają, wiejskie „Sokoły“ mają pielęgnować włościański narodowy strój, więc zachowują strój swojej okolicy. Statut dla nich ma być zmieniony, zastosowany do stosunków włościańskich.

Za przykładem tego pierwszego „Sokoła“ włościańskiego powinny i będą pewnie powstawać inne w różnych stronach kraju. Starajmy się je zawiązywać w powiecie tarnobrzeskim. Powinny się one przyjąć na wsi i rozwijać obok innych instytucyi i towarzystw włościańskich. Do nas ludu wiejskiego należy przyszłość, musimy się więc pod każdym względem dobrze rozwijać, sposobić się na dzielnych obrońców-obywateli.

Zarząd Koła włościańskiego Towarz. „Szkoły ludowej“ w Tarnobrzegu na posiedzeniu dnia 4 lipca b. r. uchwalił publicznie podziękować w *Głosie ziemi Sandomierskiej* niżej wymienionym ofiarodawcom, którzy w dalszym ciągu darowali książki do tegoż Koła, a mianowicie:

Macierz polska ze Lwowa 3 książki, Karolina Czermińska z Dzikowa 1, Dr. Marcin Wroński ze Lwowa 4, Edward Salczyński z Tarnobrzega 3, Popławski ze Lwowa 2, Zarząd Tow. handlowego z Tarnobrzega 1, Dr. Henryk Gierszyński z Paryża 1, Dr. Stanisław Kozicki z Krakowa 2. Józef Fiedler z Rozwadowa 1, M. Kanarek ze Skowierzyna 4, Franciszek Prażniewski z Miechocina 3, Dr. Surowiecki z Tarnobrzega 2, Dr. Łukaszewski ze Lwowa 2, Redakcya *Głosu ziemi Sand.* 2, Adam Karwan z Dzikowa 1, Wojciech Wiącek z Tarnobrzega 4, Wydział Rady powiatowej 1, Zarząd główny T. S. L. z Krakowa 1, Rożański Albert, starosta z Tarnobrzega 7, Red. *Głosu Ludu śląskiego* w Frysztacie 1 — razem 46 książek.

Wszystkim ofiarodawcom składa Zarząd serdeczne Bóg zapłać!

Pożar. P. Józef Śpiewak z Witkowic donosi, że dnia 29 czerwca bież. roku wybuchł pożar w kancelaryi gminnej w Chwałowicach około 2 godziny po południu i w jednej chwili zniszczył 11 domów mieszkalnych i trzy stodoły. Oprócz tego spalił się rządowy budynek cłowy ze wszystkiemi zabudowaniami nieasekurowanemi. Inne budynki były asekurowane tj. 3 katolickie a reszta żydowskie. Z powodu

silnego wiatru pożar był straszny, zniszczył wszystko doszczętnie. Szkoda obliczona na 40.000 koron.

Gradobicie. Dnia 1 lipca b. r. około godziny 5 po południu przeciągnęła chmura gradowa nad Grudzą i Popowicami ad Chwałowice. Grad spadł wielkości kurzych jaj i zniszczył doszczętnie wszystko, co w polu było. Gęsi i kaczki wybił, okna w domach wytłukł, drzewa połamał, została goła ziemia.

Tarnobrzeg. Wydział Rady powiatowej posłał podziękowanie posłowi Stwiertni za poruszenie sprawy rozszerzenia stacyi kolejowej Zbydniów i Tarnobrzeg.

Tow. handlowo-przemysłowe w Tarnobrzegu. Zwołane walne zgromadzenie dnia 6 b. m. uchwaliło podnieść udziały członków do 100 kor. aby powiększyć handel.

Rocznica zwycięstwa pod Grunwaldem. W całym kraju po miastach i wioskach urządzają uroczyste obchody w rocznicę (15 lipca) wielkiego zwycięstwa Polaków nad Prusakami pod Grunwaldem, gdzie pobito 80 tysięcy Krzyżaków i zgnieciono potęgę krzyżacką.

Dla braku miejsca nie umieszczamy w tym Numerze składek na pomnik Bartosza Głowackiego.

EDYKT LICYTACYJNY.

Dnia 29 lipca 1902 o godzinie 9 przed południem odbędzie się w tutejszym sądzie, biuro Nr. 4, licytacya $^3/_4$ części realności lwh 64 gm. kat. Tarnobrzeg, oszacowana na 1125 kor.

Najniższa cena wywołania wynosi 563 kor. Warunki licytacyjne i akta do przejrzenia w kancelaryi sądowej Nr. 4.

C. k. Sąd powiatowy Oddz. IV.

Tarnobrzeg, dnia 26 czerwca 1902.

EDYKT LICYTACYJNY.

Dnia 1 sierpnia 1902 o godzinie 10 przed południem odbędzie się w tutejszym sądzie, biuro Nr. 4, licytacya $^1/_8$ części realności lwh. 319 gm. kat. Tarnobrzeg, oszacowana na 474 kor.

Najniższa cena wywołania wynosi 316 kor.

Warunki licytacyjne i akta do przejrzenia w kancelaryi sądowej Nr. 4.

C. k. Sąd powiatowy Oddz. IV.

Tarnobrzeg, dnia 20 czerwca 1902.

Odpowiedz. redaktor i wyd. **Wojciech Wiącek** w Tarnobrzegu. — W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarz. A. Szyjewskiego.

BITWA POD GRUNWALDEM.

Ustęp z powieści Henryka Sienkiewicza p. t. „Krzyżacy“.

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos, do grzmotu niebieskiego podobny:

„Boga-Rodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Marya!
U Twego Syna, Hospodyna,
Matko zwolona, Matko jedyna
Ziści nam — spust winom!...
Kyrie elejson“!...

I wraz moc wstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmiernie zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrgało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru. Tymczasem na prawem skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mięszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zbrakło tchu.

Krzyki na prawem skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni wiedzieć, ni rozeznać, co się tam dzieje, albowiem Mistrz Ulrych, który z góry patrzał na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca „czelnego“, w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic, i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiadały w pierszym szeregu na zadach:

— W nich! Bij!

Więc rycerze pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

Lecz Litwa ugięła się pod straszliwą nawałą Niemców. Pierwsze szeregi, najlepiej zbrojne, złożone z możniejszych bojarów, padły mostem na ziemię. Następne zwarły się ze wściekłością z krzyżactwem, lecz żadne męstwo, żadna wytrwałość, żadna moc ludzka nie mogła ich od zguby i klęski uchronić. I jakże mogło być inaczej, gdy z jednej strony walczyło rycerstwo, całkiem zakute w stalowe zbroje, i na koniach stalą osłonionych, z drugiej lud, rosły wprawdzie i silny, ale na drobnych konikach i skórami jeno okryty... Próżno też szukał uporny Litwin, jak do skóry niemieckiej się dobrać. Sulice, szable, ostrza oszczepów, pałki nasadzane krzemieniem lub gwoździami, odbijały się tak o żelazne blachy, jak o skałę lub jak o mury zamkowe. Ciężar ludzi i koni gniótł nieszczęsne Witoldowe zastępy, cięły ich miecze i topory, bodły i kruszyły kości berdysze, tratowały kopyta końskie. Kniaź Witold daremnie ciskał w tę paszczę śmierci coraz nowe watahy, daremny był upór, na nic zaciekłość, na nic pogarda śmierci i na nic rzeki krwi! Pierzchło naprzód Tatarstwo, Besaraby, Wołochy, a wkrótce pękła ściana litewska, i dziki popłoch ogarnął wszystkich wojowników.

Większa część wojsk pierzchła w stronę jeziora Lubiecz, i za nią pognały główne siły niemieckie, czyniąc kośbę tak straszną, że całe pobrzeże pokryło się trupami.

Druga atoli część wojsk Witoldowych, mniejsza, w której były trzy pułki smoleńskie, cofała się ku skrzydłu polskiemu, parta przez sześć chorągwi Niemców, a następnie i przez te, które wracały z pogoni. Lecz lepiej zbrojni Smoleńszczanie skuteczny stawiali opór. Bitwa zmieniła się tu w rzeź. Potoki krwi okupowały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się z rozpaczą i wściekłością. Lecz zwycięskich Niemców nic już nie mogło powstrzymać. Niektóre ich chorągwie ogarnął jakby szał bojowy. Pojedyńczy rycerze, bodąc ostrogami i wspinając rumaki, rzucali się na oślep ze wzniesionym toporem lub mieczem w największą gęstwinę nieprzyjaciół. Cięcia ich mieczów i berdyszów stały się niemal nadludzkie, cała zaś ława, prąc, tratując i miażdżąc konie i rycerzy smoleńskich, przyszła nakoniec w bok czelnemu i walnemu hufcowi polskiemu, albowiem oba od godziny już przeszło wzmagały się z Niemcami, którym Kuno Lichtenstein przewodził.

Nie przeszło tu tak łatwo Kunonowi, gdyż większa była równość broni i koni, a jednakie ćwiczenia rycerskie. Wsparły nawet Niemców „drzewa“ polskie i odrzuciły ich w tył, zwlaszcza, że pierwsze uderzyły w nich trzy straszne chorągwie: krakowska, gończa pod Jędrkiem z Brochocic, i nadworna, której Powała z Taczewa przewodził. Jednakże bitwa rozgorzała najprzeraźliwsza dopiero wówczas, gdy po strzaskaniu kopii chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarcz, mąż zwierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodeł na kształt podciętych sosen witezie. Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli, jaki to „nieużyty“ i „natarczywy“ jest ten lud, lecz nowaków i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mimowoli konia, spoglądał przed się niepewnie, i nim się namyślił, co czynić, ginął pod ciosem polskiej prawicy. I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne, i biły miecze, biły oksze, biły bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały jak w kuźniach żelazne blachy, śmierć gasiła, niby wicher, żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbielałe młodzieńcze głowy pogrążały się w noc wiekuistą.

Leciały w górę skry, skrzesane żelazem, złamki drzewców, proporce, piura strusie i pawie. Kopyta rumaków usuwały się po krwawych, leżących na ziemi pancerzach i trupach końskich. Kto padł ranny, tego miażdżyły podkowy.

Lecz żaden jeszcze nie padł z przedniejszych rycerzy polskich, i szli przed się w zgiełku i ciasnocie, wykrzykując imiona swych patronów, lub zawołania rodowe, jak idzie ogień po suchym stepie, który pożera krze i trawy. Pierwszy tam Lis z Targowiska porwał mężnego komtura z Osterody Gamrata, który, straciwszy tarczę, zwinął w kłąb swój biały płaszcz koło ramienia i płaszczem się od ciosów zasłaniał.

Ostrzem miecza przeciął Lis płaszcz i naramiennik, odwalił od pachy ramię, drugiem zaś pchnięciem przebił brzuch, aż ostrze w kość pacierzową zgrzytnęło. Krzyknęli

z trwogi na widok śmierci wodza ludzie z Osterody, lecz Lis rzucił się między nich, jak orzeł między żórawie, a gdy Staszko z Charbimowic i Domarat z Kobylan skoczyli mu na pomoc, poczęli ich we trzech łuskać okrutnie, tak, jak niedźwiedzie łuszczą strąki, gdy się na pole zasiane młodym grochem dostaną.

Tamże Paszko Złodziej z Biskupic zabił sławnego brata Kunca, Adelsbacha. Kunc, gdy ujrzał przed sobą wielkoluda z krwawym toporem w dłoni, na którym wraz z krwią przylegly kudły ludzkie, zląkł się w sercu i chciał się oddać w niewolę. Ale Paszko, nie dosłyszawszy go wśród wrzawy, podniósł się w strzemionach i rozciął mu głowę wraz ze stalowym hełmem, jakby ktoś rozciął jabłko na dwoje. Wraz potem zgasił Locha z Meklenburgii, i Kligensteina, i Szwaba Helmsdorfa z możnego hrabiowskiego rodu, i Limpacha z pod Moguncyi, i Nachterwitza też z Moguncyi, aż wreszcie poczęli się cofać przed nim przerażeni Niemcy, w lewo i w prawo, on zaś bił w nich, jak w walącą się ścianę, i co chwila widziano go, jak wznosił się do cięcia na siodle, poczem widziano błysk topora i hełm niemiecki, zapadający się w dół między konie.

Tamże potężny Jędrzej z Brochocic, złamawszy miecz na głowie rycerza, który miał sowę na karku i przyłbicę, kształtu sowiej głowy wykutą, chwycił go za ramię, skruszył je, i wydarłszy mu brzeszczot, zaraz go nim życia pozbawił. On również młodego rycerza Dynheima wziął w niewolę, którego widząc bez hełmu, pożałował zabijać; gdyż ów prawie był dzieckiem jeszcze i dziecinnemi nań spoglądał oczyma. Rzucił go tedy Andrzej giermkom swoim, nie odgadując, że zięcia sobie bierze, albowiem rycerzyk ten córkę jego wziął później za żonę i na zawsze w Polsce pozostał.

Natarli atoli teraz ze wściekłością Niemcy, chcąc odbić młodego Dynheima, który z możnego rodu grafów nadreńskich pochodził, lecz przedchorągiewni rycerze: Sumik z Nadbroża i dwaj bracia z Płomykowa, i Dobko Ochwia, i Zych Pikna osadzili ich na miejscu, jak lew osadza byka, i odepchnęli ku chorągwi świętego Jerzego, szerząc wśród nich zgubę i zniszczenie.

Zaś z rycerskimi gośćmi starła się chorągiew królewska nadworna, której Ciołek z Zelichowa przewodził. Tam Powała z Taczewa, siłę nadludzką mający, obalał ludzi i konie, kruszył żelazne hełmy, jak skorupy jaj, bił sam jeden w całe gromady, a obok niego szli Leszko z Goraja, drugi Powała z Wyhucza i Mścisław ze Skrzynna, i dwóch Czechów: Sokół i Zbisławek. Długo toczyła się tu walka, gdyż na tę jedną chorągiew uderzyły trzy niemieckie, lecz gdy dwudziesta siódma Jaśka z Tarnowa przyszła jej w pomoc, siły zrównały się mniej więcej, i odrzucono Niemców prawie na pół strzelania z kuszy od miejsca, w którem nastąpiło pierwsze spotkanie.

Lecz jeszcze dalej odrzuciła ich wielka krakowska chorągiew, której sam Zyndram przywodził, a na czele między przedchorągiewnymi szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków: Zawisza Czarny herbu Sulima. W pobok walczyli brat jego Farurej i Floryan Jelitczyk z Korytnicy, i Skarbek z Gór i właśnie ów sławny Lis z Targowiska i Paszko Złodziej, i Jan Nałęcz i Stach z Harbimowic. Pod okropną ręką Zawiszy ginęli bitni mężowie, jakby w tej czarnej zbroi sama śmierć szła im naprzeciw, on zaś walczył z namarszczoną brwią i ściśniętemi nozdrzami, spokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę; czasem równo poruszał tarczą, odbijał cios, lecz każdemu błyskowi jego miecza odpowiadał krzyk straszny porażonego męża, a on nie oglądał się nawet i szedł, pracując, naprzód, jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.

Poznańska chorągiew, mająca w znaku orła bez korony, walczyła też na śmierć i życie, a arcybiskupia i trzy mazowieckie szły z nią w zawody. Ale i wszystkie inne przesadzały się wzajem w zawziętości i natarczywem męstwie.

Jednakże setki, a potem tysiące rycerzy zaległy z obu stron ziemię, aż wreszcie pod razami zaciekłych Polaków poczęła się chwiać niemiecka nawała, gdy w tem zaszło coś takiego, co losy całej bitwy mogło w jednej chwili przeważyć.

Oto, wracając z pogoni za Litwą, rozgorzałe i upojone zwycięstwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polskiego skrzydła.

Sądząc, że wszystkie wojska królewskie już rozbite i bitwa stanowczo wygrana, wracały one w wielkich bezładnych gromadach, z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed sobą srogą rzeź i Polaków prawie już zwycięskich, ogarniających zastępy niemieckie.

Więc Krzyżacy, zniżając głowy, spoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co się dzieje, a potem, jak który stał, wbijał koniowi ostrogi w boki i puszczał się w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tysiące ich zwaliły się na znużone walką chorągwie polskie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc, i z nowym zapałem poczęli bić Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linii, ziemia spłynęła potokami krwi, zachmurzyło się niebo i odezwały się głuche grzmoty, jakby sam Bóg chciał mieszać się między walczących.

Lecz zwycięstwo poczęło się chylić ku Niemcom... Już, już wszczynała się zamieszka w ławie polskiej.

Ale właśnie czekał Niemców straszny i krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż, wojska polskie, na widok upadającej krakowskiej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczy był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii, i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów, zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko oślepłe konie, bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął, i rozkwitła wspaniale, jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją krzykiem tryumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło we dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej piersiom trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieubłaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie wypadał ze skrzętu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbielałą ze strachu i zdumienia, i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł niemniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzy-

żackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w Mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wicher porusza ciężką, niosącą klęskę chmurę gradową.

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała jeszcze udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkiem i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych ubogich włodyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na drągach.

— Gotuj się! gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując, jak błyskawica, wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrana pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszanym głosem do ucha, a on zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy powtarzać:

— Zdro-waś Ma-ryo, ła-skiś peł-na, Pan z Tobą!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy: kmiecie z Mało-Polski i Wielko-Polski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — krzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wszask i krzyki wzbiły się aż ku niebiosom.

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypł od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł się sam rwać do boju.

Nie puszczali go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żuława chwycił za cugle konia i choć król uderzył go włócznią po ręku, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad całym jego orszakiem.

Oto Mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy i chcąc także zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnaście wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nieopodal wzgórza, na którem stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu się cofać.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana piersiami zasłonić. Tym razem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blisko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych, jak tury, koniach, nie uznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci, szli jak huragan z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam Wielki Mistrz leciał przed nimi w białym, szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr, wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstwa rycerzy stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla! Ale z pod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc popisać się odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spiął ostrogami konia i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byliby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i w rycerskiem rzemiośle. Ten mając złomek kopii w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skruszył mu hełm i zwalił na ziemię. „W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabić go raczył“.

I znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najbliżej od pola stojący Mikołaj Kiełbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół, ale w kurzawie nie poznały ich inne polskie chorągwie i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie pospieszyły na ich przyjęcie.

Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przedzie Wielkiego Mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą Mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, poczem minąwszy się, zatoczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim.

— Niemce! sam Mistrz! — zakrzyknął Dobko.

Usłyszawszy to, kopnęły się z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kiełbasa i rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi Chełmińskiej, między którem wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nic już nie mogło powstrzymać, dość, że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku, jakiego się Mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to będzie ostatni cios zadany potędze królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni, niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa

wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi, rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszym kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej i ustępowali, zwolna, ale ciągle, jakby pragnąc wydostać się nieznacznie z morderczego skrętu. A wtem od strony lasu zagrzmiały zaraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelazie kosy, zagrzmiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię i bitwa stała się jak jeden płomień niezmierny; gdyż Niemcy, poznawszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbiły się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła, jak wicher, na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczyło do Mistrza.

— Ratuj się, panie! — wołał pobladłemi usty komtur Elbląga. — Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulrych spojrzał na niego ponuro i wzniósłszy ręce ku niebu, zawołał:

— Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którem tylu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknąwszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w war bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa i stał się taki zamęt, taki wir i kotłowanie, że oko ludzkie nic już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie pchnięty rohatyną w szyję, zwalił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

Werner Tetlingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zmieniła się w rzeź i klęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Atylą i Karola Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części, jak zżęty łan zboża. Poddały się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju Mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze pozeskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę i poklękali na obluzganej krwią ziemi. Cała chorągiew św. Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wolało umierać, niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy, wedle swojego wojennego zwyczaju w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigały ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i oksze. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posępni, ogromni, nieustraszeni.

Mało kto klękał, prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozprószył wreszcie i mniejsze kupy, nawet pojedynczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcem w ręce zwycięzców. Dzień to był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej.

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nietylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszem rycerstwem wspomagały oną „przednią straż“ teutońską, wżerającą się coraz bardziej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset „białych płaszczów“, przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackiem, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocaliła się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożne oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: „Bóg tak chciał!“

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy, klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim, oprócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem, przygotowanem na wielką ucztę po zwycięstwie.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze, i dysząc utrudzonemi piersiami, spoglądali na te chorągwie i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży, radosny wieczór.

Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładący koniec nędzy i trudom nietylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzał, jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie św. Brygidy, rzekł:

— Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!!

Poczem podniósł dłoń i począł żegnać nietylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawem od blasku zorzy i oczyszczonem przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojowisko, zjeżone ułamkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta — i ciągnęło się owo żałosne pole śmierci, z dziesiątkami tysięcy ciał, dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

A w górze, na rumianem niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłośnie na widok żeru.

Odpowiedz. redaktor i wyd. **Wojciech Wiącek** w Tarnobrzegu. — W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarz. A. Szyjewskiego.